

Teresa Jabłońska, Mariusz Zemło

„I to jest piękno Boga” –  
coś z duchowości artysty Edwarda Jurszewicza  
(1927–2004)

Edward Jurszewicz – malarz, rysownik, rzeźbiarz w drewnie. Urodzony w 1927 r. w Wilnie. Od 1945 r. mieszkał i tworzył w Białymstoku. Z wykształcenia technik budowlany; wieloletni pracownik Biura Projektów i Urbanistyki Miejskiej Rady Narodowej. Mimo bardzo dobrych opinii wprowadzających: Józefa Łotowskiego (wiceprezesa Z.O. Okr. Białystok, Sekcja Malarstwa, leg. nr 514) i Stanisława Wakulińskiego (Okr. Białystok, Sekcja Rzeźby, nr leg. 2770), a także zaświadczeń innych osób (11 IX 1978, L. Jesiecki, kierownik Domu Kultury Budowlanych; 25 X 1978, Jerzy Rutkowski, Dyr. Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji w Białymstoku; 1 XII 1978, Jerzy Gadkowski, kierownik Domu Kultury Budowlanych) zabrakło zgody przedstawiciela władzy okręgowej ZPAP na przyjęcie go do Związku Polskich Artystów Plastyków. Mimo bardzo dobrze zdanych egzaminów do warszawskiej ASP i do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie – studia mu uniemożliwiono. Zginął 25 czerwca 2004 r. w aucie odrzuconym siłą uderzenia daleko na łąkę, w drodze do Puszczy Knyszyńskiej, w której latami malował i rzeźbił, i która zawdzięcza Mu zawieszane na jej szlakach kapliczki.

Nieco o tajemnicach wnętrza Edwarda Jurszewicza niech czytelnikom powiedzą tego wnętrza nieliczne przejawy – zachowane teksty<sup>1</sup> – odpryski świata w pełni znanego jedynie Stwórcy.

### Wrażliwością artysty

#### Ruska Madonna

Ikona jak ruska dziewczuszka  
z wytrzeszczonymi oczami  
trochę ponura, ale śpiewająca  
o miłości prawie nie dotyka  
to Bóstwo odwieczne  
narysowane w Jej tle  
Balsam Jej rąk i oczu  
to wszystko co może Mu dać  
i tak zrodzony został  
Bóg.

#### Jezus

Kocham Cię muzyką Cyganów  
gorącą jak słońce  
wszystkimi kwiatami puszczu  
niech serca mego nie zagłuszy nic  
Kocham Cię wszystkimi barwami  
i całą tęsknotą ludzką

---

<sup>1</sup> Poniższe treści oprócz wcześniej niepublikowanych wypowiedzi Edwarda Jurszewicza zawierają fragmenty zaczerpnięte z: *Potęga Dobra. O Edwardzie Jurszewiczu i jego twórczości*, „Epea. Almanach” 2002, nr 1, s. 75–101; T. Jabłońska, *Edwarda Jurszewicza słowa ostatnie*, „Bibliotekarz Podlaski” 2004/2005, nr 9–10, s. 177–182; J. Leończuk, „Rozumieli to dobrze Grecy...” *Pożegnanie śp. Edwarda Jurszewicza artysty malarza i rzeźbiarza*, „Bibliotekarz Podlaski” 2004/2005, nr 9–10, s. 183–184.

Kocham Cię Pięknem  
Samego Boga  
którym i Ty jesteś, Panie  
2001

Piękno Boga

Wszystkiego brak, jest pusto i smutno  
bo Ciebie brak JEZU  
Tęsknię za Tobą chcę Cię widzieć  
dotykać całować Twoją Głowę  
Panie

Nie boję się tego tych myśli  
Jesteś jak najlepszy przyjaciel  
Wszystko oddałbyś gdybym chciał  
Wiem o tym

Nie nic nie chcę od Ciebie  
Chcę tylko Cię widzieć  
Żebyś był w pobliżu i nic więcej  
Gdy jest czasami bardzo pięknie wtedy  
Przychodzisz razem z tym co widzę  
I to jest PIĘKNO BOGA

12.08.2002

\*

Leżała na ogromnym stole w ogromnej kuchni. Przy niej stał samowar. A dym z samowara pachniał nieraz jak kadzidło. Zawsze otwarta na niedzielnym czytaniu. Leżała tam, gdzie Dziadek siedział, pośrodku tego wielkiego stołu. Dookoła – pełno rodziny: Babcia, Rodzice, Ciocia, Wujaszkwie – i ja, jedynek, chłonący tę atmosferę, zarazem wyrrywający się duszą i ciałem do kolegów, do swoich rysunków, nad Wilię, na łąki.

Dziadek albo sam czytał Biblię (po fragmencie wyznaczonym przez Kościół odczytywał dodatkowo wyimki wybrane przez siebie), albo wyznaczał czytającego. Słowo

Boże musiało być czytane powoli, z namaszczeniem. Dziadek swoją surowością budził respekt. Nie lubił pomyłek, więc czasami aż wstrzymywałem oddech: żeby czytającemu udało się nie pomylić. Taka to była „dyscyplina biblijna”. Przy stole cisza była absolutna. Rozmawiać można było tylko o Biblii.

Stoi mi w oczach ta moja rodzina jak „Ostatnia Wieczerza”. Taki uroczysty nastrój, dostojność, jakaś świętość w powietrzu. To za sprawą Dziadka i jego Biblii. Księga była duża, w twardych okładkach, i litery były duże.

\*

Dziadek był starszy od Babci, myślę, że urodzony w latach Powstania Styczniowego. Straszne czasy prześladowań po 1863 roku znał jeśli nie z wczesnego dzieciństwa, to z rodzinnych opowieści, z rozmów najbliższych. Wiedział, czego się trzymać: trzymał się Biblii. Mama nieraz opowiadała mi o Murawiowie „okrutniku” i o tym, jak jego okrucieństwa wzbudzały w ludziach nienawiść. O „wieszateliu” słyszałem nie w szkole, a w domu.

Piotr, Józef, Jan, Paweł. Czterech braci i dwie siostry: Maria, moja mama, i Rozalia. Wujaszek Piotr zginął w Cudzie nad Wisłą, jako saper. Stryjaszek Józef sadzał mnie sobie na ramieniu i nosząc mówił: „Edziu, rośnij szybciej, pójdziemy bić bolszewików. Jeszcze zdążysz”. Zginął w Sztuthoffie. A dowiedziałem się tego w dość nieoczekiwanych okolicznościach. Malowałem alumnat w Tykocinie, z pięknym odbiciem w wodzie. Po głosie rozpoznał mnie jakiś człowiek, rybak.

– Czy pan nie z rodziny Józefa Stefanowicza? Głos ma pan dokładnie jego.

– To mój wujaszek.

– Panie – powiedział – Józef wywołał w Sztuthoffie powstanie. Rozbili magazyn z bronią, ale nie dali rady się wydostać. Niemcy zamęczyli wszystkich. Trzymali go po szyję

w wodzie, zanim zginął. Niemcy nazywali go „cygański wójt”; ogolili łeb jak wszystkim, ale zostawili mu wąsy. (A Józef, to wiem, nosił potężne wąsy na cześć Piłsudskiego. Każdy wilniuk nosił wąsy na cześć Dziadka.)

– Dlaczego pan nie zginął?

– Niemcy zrobili ze mnie kapo, dlatego przetrwałem.

\*

Wszyscy w rodzinie grali i śpiewali: Matka na gitarze, na akordeonie. Józef pięknie śpiewał Godzinki – tak głośno i tak pięknie, że obcy zachodzili do domu. Lubił śpiewać do Maryi. „To Kobieta!” mówił z najwyższym uznaniem. „Żeby mi Bóg dał taką żonę jak Maryja.”

\*

We wczesnym dzieciństwie ludzi starych w ogóle nie zauważałem. I nagle spostrzegłem starców: pomarszczonych, zgarbionych, krzywych.

– Co to – pytam Mamę. – Kto to jest?

– Ludzie się starzeją.

– I co z nimi później się stanie?

– Muszą umrzeć.

– Dlaczego?! Aha – pomyślałem – pewnie zrobili dużo złych rzeczy. I to za karę.

Mama była zdumiona: – Skąd ty to wiesz?

Wiedziałem „z siebie”. To było we mnie. Jak sumienie.

\*

Miałem niecałe 12 lat, tuż przed wrześniem 39 roku nauczycielka Żydówka powiedziała coś na Piłsudskiego i jeszcze „Nu, wasza Polska się skończy wkrótce ...” Zatkaną palcem otwarty kałamarz i cisnąłem nim w tablicę. Dziennik, zeszyty, twarz nauczycielki – zachlapane. Cisza w klasie. Wybiegła po dyrektora Piotrowskiego. Przybiegł, niewiele pytając chwycił mnie za baki – no, i oberwał po rękę. Zabrał

książki, tornister: „Ma przyjść matka”. Tornister wykradłem z kancelarii. Matce powiedział: „Wyrzucimy go ze szkoły, znieważył mnie, chciał mnie bić, to za duże przestępstwo wobec klasy.”

– Dwunastoletni chłopak panu zagrażał? – zapytała matka.

Za dwa miesiące wybuchła wojna.

\*

W 39 roku, kiedy nasi żołnierze opuścili koszary przed sowietami, przed bolszewikami, ludzie zabierali stamtąd, co mogło się przydać, za przyzwoleniem polskiego wojska. Ja znalazłem farby olejne w tubkach. Malowałem z tuby, na parkanach, kolegów, głowy, profile. Wtedy, najpewniej z pomieszczeń kapelana wojskowego, zabrałem obraz Jezusa w Ogrójcu, modlitewnik i historię literatury polskiej. Dwunastoletni chłopak – nic więcej mnie nie interesowało. Obraz towarzyszy mi do dziś.

\*

[Podczas wizyty u Artysty, o obrazie] „Zabieram. Musi pan zdawać do ASP. Będzie pan mieć miejsce rektorskie”. Wtedy posłałem pejzaże olejne. Był czerwiec. Całą noc jechałem pociągiem do Krakowa. Kilkudniowy (dwa – trzy dni?) egzamin: rysunek – akt, akt węglem, martwa natura temperą, portret starca. Jak Picasso, w jeden dzień zrobiłem wszystko. „Te prace, które pan nadesłał – powiedział prof. Dobrzański – wszystkie są dyplomowe.”

Byłem niemal pewien. Przed ogłoszeniem wyników wywołał mnie rektor z prof. Dobrzańskim: „Dostaliśmy telefon. Miejsce rektorskie zajęte. Niestety, nie możemy pana przyjąć.” Przepraszali obydwaj, jeszcze na schodach do Akademii.

Nie wróciłem po swój plecak z przyborami na strych ASP, gdzie byliśmy zakwaterowani w spartańskich warun-

kach. Od razu na stację, do Warszawy; nocą – do Białegostoku. Wszystkie obrazy po powrocie zdjąłem ze ścian. Chciałem pociąć nożem. To był straszny cios.

Profesor Dobrzański, pamiętam, mówił: „Będziemy razem projektować witraże” (prowadził katedrę grafiki); zapalał się, więc chyba rzeczywiście chciał umożliwić mi studia, a potem nie mógł spełnić swojej obietnicy. Przypuszczam, że białostockie UB to mi „załatwiło”. Wiedzieli o moim zamiarze, więcej: sami proponowali mi studia w Warszawie za cenę współpracy. „Zrobimy pana asystentem, profesorem – tylko będziesz pan dla nas pracował.” Po tym, jak się dowiedzieli, że zamierzam zdawać do Krakowa, cóż, jeden telefon....

Od prof. Dobrzańskiego po paru dniach przyszła pocztówka: „Kochany, kochaj pan kobiety i maluj dalej”. Ale nie napisał tego ręcznie, tylko na maszynie.

\*

Miałem „eskę”, bardzo dobry rower. Jeździłem wtedy motorem, rower był do przejażdżek sportowych. Kiedy pewnego wiosennego ranka szedłem do pracy przez Planty, nad oczkiem wodnym, w głębi, za „Praczkami”, zobaczyłem jasną zieleń młodych listków brzoź, listków wierzb – aż jęknąłem. Musiałem je namalować. Widziałem już maźnięcia pędzlem, wiedziałem jak mam namalować te nieustannie drżące, trzepocące się listeczki. Tę miękkość, gładkość, ruch, świeżość. Sprzedałem rower znajomemu. Farby wówczas były niedrogie. Kupiłem ich prawie worek i wystarczyły mi chyba na rok. Później zobaczyłem krzaczek nad jakąś inną wodą – ten sam przymus malowania, to samo zauroczenie. Piękno wymusza. Krzaczki zachwyciły mnie jeszcze długi czas i wiele ich namalowałem. Inżynier Bukowski, z którym współpracowaliśmy w Biurze Projektów, nazwał mnie „mistrzem od krzaczków”.



Il. 1. Edward Jurszewicz, w tle obrazy artysty

\*

W tej wodzie, odbijającej w sobie i niebo z chmurami, i gałęzie, i światło – jest coś, co przyciąga, przykuwa. Nie wiadomo co, a jest. I nawet nie warto wiedzieć, co to. Bo ilu jest ludzi, tyle może być odpowiedzi. Każdy znajdzie coś innego, a zawsze to będzie prawda. W tym jest zawarta Boża hojność, obfitość, nadmiar – jak te szyszki na świerku: jest ich takie mnóstwo, o wiele za dużo jak „na potrzeby”. Widzę w tym nadmiarze to, że Bóg jest nieskończenie hojny, że pragnie uszczęśliwiać, nasycać, dawać różnorodność. I że tej różnorodności pragnie, także w mnogości istnień ludzkich.

\*

Malarstwo to miłość. Do natury, do farb, do wszystkiego co żyje. I zaczynasz, bracie, nawet Boga lepiej rozumieć. Rzeczywiście, chyba Bóg jest Miłością. Trzeba kochać to, co się



maluje, wtedy dobrze namalujesz. Pierwszy raz zakochałem się w trzcinach; z odległości nabierały cudownych odcieni: niebieskawa, beżowoszarawa zieleń... W 57 roku jak zwykle uciekłem z pochodu pierwszomajowego do Bokin, a tam – kaczeńce! Jakie kaczeńce!...

Gdy się wybierałem w plener, czułem, jakbym dotykał wolności. A gdy kończyłem obraz – wydawało mi się, że jestem prawie bogiem. Coś udało mi się wykraść z tajemnic natury, wyrwać z jej ukrytych zasobów piękna. Natura kryje w sobie skrzętnie własną, wewnętrzną istotę, prawdę, sens. A ileż piękna. I odkryć je, zdobyć, przekazać na płótnie – to nie jest takie proste. Trzeba czuć się fragmentem natury, żeby jakoś nie pozostać „obok” czy „poza”, lecz – być wewnątrz niej, z nią. Zatracić się, zapomnieć o sobie, wtopić, zjednoczyć...

Malarstwo to jest rozbój. Tego typu malarstwo, które ja uprawiam – to jest rozbój. Żaden z tych książkowych, uładzonych malarzyków w ogóle nie czuje tematu. Ja potrafię w śnieżycę malować. Zasłaniałem plecami obraz... [zduszony szloch]. Nikt tak nie malował. Plecami o drzewo się oparłem, żeby człowieka nie przewróciło. Musiałem dokończyć. Jak zaczynałem, nie było śnieżycy. A ja znów – człowiek nieustępliwy. Żeby się wszystko wokół przewróciło do góry nogami – dopnę swego. To nie jest głupi upór. To jest przymus zanotowania tego, co czuję i widzę. Turner, kiedy malował sztorm, przywiązywał się do masztu. To nie jest kliwowy realizm ani jakieś bawienie się z naturą – to jest chęć uchwycenia prawdy natury. A obraz wyszedł bardzo dobrze, mimo śniegu. Tylko od uderzania śniegowych łapci zostały takie nawarstwienia, rozchwiania – ciekawa faktura.

Turner to kolorysta. Wspaniały. Przeczytałem kiedyś o nim artykuł, chyba w „Przekroju”. Natychmiast poszedłem do biblioteki. Kolorysta – czyli kumpel. Wyszperałem o nim książkę. Czytałem na raty, a potem taka miła bi-

bliotekarka dawała mi książkę do domu. W portach groziło mu pobicie przez pijanych marynarzy. Nie bał się, malował. I, o dziwo, nigdy go nikt nie pobił.

Kiedyś w deszcz malowałem. Deszczowe krople nie zmyją olejnej farby, a pozostaje bardzo ciekawa faktura – lekko odrealniona.

\*

Malowanie: adorowanie Boga farbami, które są w Nim i od Niego.

\*

W parku akurat robotnicy ciąli topole. Włoska topola ma piękne, białe drewno. Była lekka, bezśnieżna zima; nie mogłem wybrać się na narty. Kupiłem kilka pieńków. Najpierw – główkę Chrystusa w koronie cierniowej, umęczonego. Kolejne – nieco nadnaturalnej wielkości – głowy konającego Jezusa. Potem głowę ujętą jakby w rysunek krzyża, mocno przechyloną. Tę „zabrała” mi historyk sztuki, pani profesor Erdman z Krakowa. Niedużą Madonnę z Chrystusikiem jak tabletkę od bólu głowy kupiła inżynier Wiechowska.

Pojawił się pan Edward Popławski – romantyk, zakochany w przeszłości swojej ziemi pogorzelskiej, jej kronikarz i piewca. Zaprosił do Pogorzałek. Ksiądz proboszcz Perkowski zamierzał odrestaurować stary kościółek – zrobiłem projekt malowania. Minęło kilka lat – pan Popławski znów mnie odwiedził. Przysłała go wiejska rada, żebym wyrzeźbił Frasobliwego do zabytkowej kapliczki z czasów Powstania Styczniowego. Zająłem się też „Mopucenami” – figurkami św. Nepomucena, często spotykanymi na ziemi knyszynskiej. Wyrzeźbiłem metrowego Frasobliwego, na zamówienie ks. Hołubowskiego, następcy śp. ks. Perkowskiego. Kolejny proboszcz, ks. Ryszard Kotkowicz, zlecił mi wykonanie nagrobka – kapliczki ks. Perkowskiemu, a potem zaproponował zrobienie pasyjki.

\*

Drewno różni się najpierw zapachem. Każde pachnie inaczej. Taka brzoza – tatarakiem, szuwarami. Osika ma w sobie jakiś octowy zapach. A dąb – zapach chleba, bardzo piękny. Lipka jest cudna, nie ma wad. Drewno miękkie, łatwo pozwala się kształtować, potulnie poddaje się obróbce, no, a barwa – kremowobiała. Jak alabaster. Zapach stwarza nastrój, podniecie, jakoś wpływa na wybór tematu i formy.

\*

Nie cierpię realizmu, jest strasznie nieciekawym, bo powtarzanie czegokolwiek nie jest procesem twórczym. Świadomie odrealniam.

\*

Jeżeli kontakt ze sztuką nie jest uzdrawiający, to w jakim celu taka sztuka istnieje?

\*

Tyłu artystów ma tyle forsy, możliwości – a otaczają się murami, budują zamki, chowają się. Ja bym chodził z muzyką. Albo i z dwiema, greckimi, rzecz jasna. Radować się, jak Jezus uczy.

\*

Mocno kochać – to jedyne wyjście z życiowej sytuacji!

Kochając kobietę zarazem kocha się Boga.

W kobiecie są okruchy nieba.

Kochać kobietę – to jak dotykać powietrza, takiego w puszczy brazylijskiej; taka jest obecność kobiety.

To kobieta stwarza niebo. W kobiecie jest wszystko. Jest nieskończona.

\*

## Jestem zachwycony Stwórcą!

W tych najmniejszych kwiatkach najwyraźniej widzę wielkość Boga. I delikatność. Jaki Bóg jest delikatny! Bo żeby wymyślić takie cuda, trzeba samemu takim być; w rzeczy stworzonej przejawia się Stwórca. W ludzkiej twórczości jest podobnie: zawierasz siebie w tym co robisz, chcesz czy nie.

\*

Ma na mnie wpływ czarodziejski – po prostu oczarował mnie. Gdyby mi ktoś dzisiaj coś nowego o Nim powiedział, to siedziałbym zasłuchany. Ksiądz Zalewski, przy św. Wojciechu, pożyczył mi kiedyś książkę Flawiusza o Jezusie. Każdy szuka swojej drogi. Moją drogą jest Chrystus! I żadnej filozofii nie uznaję. Ja nie wątpię. Dla mnie niewierzący jest groteskowym człowiekiem, nielogicznym.

Miłość nieprzyjaciół – to jest Boskie. To jest najlepszy dowód, że Jezus jest Bogiem. Zachwycają mnie Etiopczycy: dotykają ściany świątyni, w której miał nauczać Jezus – i padają na twarz. Tak trzeba szanować Jezusa, w każdych warunkach. Gdy kiedyś znowu zrobię kopytka z serem – takie palce lizać – to Go znów zaproszę. No, przecież gdyby chciał – mógłby przyjść. Przyszedłby. To też wyznaczenie wiary w prawdziwe bóstwo i prawdziwe człowieczeństwo – no nie? Po Komunii św. – ludzie – patrzysz – nie ci sami. Boże, jacy dobrzy! Każdego chciałoby się przygarnąć do serca.

Chrystus, ten z „Całunu” – to Nauczyciel. Nie dlatego, że był Nauczycielem, że tak zwracali się do Niego ludzie: „Rabbi” – Nauczycielu. Nie. Ma twarz nauczyciela. Ma coś w twarzy, że do niczego „nie można się przyczepić”. (A ja natychmiast znajduję to coś, jeżeli jest, i „się przyczepiam”.) Nie wygląda na Boga, ale – to prawdziwy Nauczyciel. Samo dobro, sama łagodność, delikatność, sama Miłość – taki powinien być nauczyciel. Piękny, bo uduchowiony.



Il. 2. Kapliczka, olej na płótnie, autorstwa Edwarda Jurszewicza

Cały czas, od młodości, czułem opiekę samego Chrystusa. Czciłem i czczę Go, i to nie ze strachu czy z emocji. Nie. Czczę Go dlatego, że zawsze uważałem Go za wielkiego Mistrza. Powiedziałem kiedyś: „Panie, gdybyś nawet Bogiem nie był, i tak bym Cię kochał. I tak Cię Kocham, i będę kochał, i nie przestanę. Za tę naukę Twoją przepiękną.

Normalny człowiek, zwykły śmiertelnik, nigdy nie powie o miłości wroga, tak jak On to powiedział.

A te kapliczki – gdybym nie kochał nade wszystko Jezusa, to po co bym je rozwieszał? Kocham Go za to, że taka „Bidula”. Wieszam kapliczkę z pragnieniem, że ktoś zobaczy, spojrzy – i serce mu zadrga. Ze zateśkni za Bogiem, za dobrocią, innym życiem.

Gdybym był wtedy w Ogrodzie Oliwnym, kiedy Chrystus do nich przyszedł, a oni pospali się jak barany, Chrystus nie zostałby sam. Powiedziałbym: »Co tam. Przejdziemy przez to razem«. I też dałbym się ukrzyżować, głową u Jego stóp. Trzeba mieć wielkie serce. Człowiek to serce. Jezus nie byłby wtedy samotny. Czasem człowiek potrzebuje czyjś serca, On wtedy potrzebował.

\*

Ludzie dziś nie czują Chrystusa w sobie. Patrzą jedni na drugich i widzą tylko siebie.

\*

Bóg jest Żebrakiem Miłości.

\*

Zło mnie nigdy nie pociągało.

\*

Ksiądz Popiełuszko zginął, zamęczony, w październiku, a oni już w grudniu, na sylwestra, hucznie się bawili! Zabito Pasterza – a owce sobie skaczą, pobekują – tak to można

określić. Mocno to przeżyłem. To niedopuszczalne. Gdyby ludzie więcej uwagi poświęcali ważnym, najważniejszym sprawom, Polska byłaby w zupełnie innym miejscu niż jest.

\*

Człowiek naprawdę piękny jest od wnętrza. Taki był dobrotliwy Ksiądz profesor w szkole. Czułem w nim człowieczeństwo i ogromną świętość. On rozgrzeszyłby największego bandziora. Chrystusa też za to lubię. U Niego nie ma złych ludzi. Ani hierarchii. Ksiądz profesor zapytał kiedyś: – Co jest ostatecznym celem człowieka? – Cała klasa nie wiedziała. – No, co tu nam malarz powie. – Ksiądz mówił o tym na poprzedniej lekcji. Jestem wzrokowcem. Pamiętam, „widziałem” całą odpowiedź zapisaną w zeszytcie. – Celem ostatecznym człowieka jest chwała Boża – powiedziałem powoli i dobitnie. – Pięć. Siadaj, pięć. Słyszeliście?

Ale najbardziej lubię matrosów z Października. Ludzie nie do pokonania, z Kłajpedy przyjeżdżali do Wilna. Niektórzy mieli kolczyk w uchu, jak korsarze. Jeszcze wstążeczka, niesiona wiatrem na plecach – mocno podejrzane typy. Bardzo takich lubiłem.

\*

Na starość wracają wileńskie nawyki – przed Ostrą Bramą nawet Żyd klękał, przez szacunek dla modlących się. (Jan Paweł II nazwał przecież Wilno „polską Jerozolimą”.) Niedawno, w autobusie, kierowca słuchał radiowej Mszy św. Przyjechaliśmy akurat na końcowy przystanek. Ukląkłem i klęczałem przez całe Podniesienie. Nikt poza mną... Ludzie wysiedli, poszli. Zagubił się gdzieś w ludziach kult dla Boga, jest duże zobojętnienie – a podobno naród katolicki.

\*

Mieszkamy – istniejemy – we wnętrzu Boga.

\*

Wśród wszystkich stworzeń tylko ptaki wyglądają na szczęśliwe.

\*

Świat jest cudem Boga. A Bóg jest Artystą. Bóg musi być malarzem. Narysował świat!

### Kolekcjonerzy i przyjaciele o Jurszewiczu

Michał Bałasz, mgr inż. arch.

Nazywaliśmy go „białostocki van Gogh”. Twórczość ognista, nerwowa. Wprawdzie sobie ucha nie odciął, ale bywał tego bliski (śmiech). Ogień nie człowiek. Bogate wnętrze, żywiołowy, dużo ma z południowca: w temperamentie, nagłym zapalaniu się, gwałtowności reagowania, nawet w sylwetce.

Najwcześniejsze rzeczy były najbardziej żywiołowe, i pod względem kolorystycznym, i techniki tworzenia, z pełnym rozmachem ręki i pędzla. Z latami przychodziło pewne uspokojenie, autokorekty. Przecież w drodze rozwoju mógł liczyć tylko na siebie. To, co w akademii studentom podaje się „na talerzu”, w jego pracach było wynikiem instynktownych poszukiwań. Więc co osiągnął, to wyłącznie własne, niezmanierowane.

Pierwszym, który go zauważył i próbował wspierać w twórczości, był inż. Bukowski i jego żona malarka, Placyda. Potem Wiesiek Bujnowski – był zachwycony i osobą, i malarstwem. Bardzo wysoko z zawodowców cenił go Szymaniuk, że ma polot, iskrę Bożą. Jako projektant budowli sakralnych stykałem się z Nowosielskim, Łabanowskim, innymi, więc pewną skalę porównawczą mam. Malarstwo pana Jurszewicza cenię wysoko. A takiego jak on człowieka trudno nie lubić. Kiedy jeździł w plener, gdzieś do Bokin





Il. 3. Kapliczka autorstwa Edwarda Jurszewicza w Puszczy Knyszyńskiej

czy Dzikich, podobno motocykl rzucał w pędzie i już gnał do upatrzonego motywu, z rozwichrzoną potężną czupryną – sam żywioł. A płótno na sztaludze mogło być najdłużej dwie godziny. Inaczej mogła być połamana (śmiej).

Prawdziwa miłość do natury, malowania, życia. Otwarty na całe bogactwo rzeczywistości: dla niego pieczone w ognisku ziemniaki to były nie tylko one; dym, zapach ogniska, smak powietrza, nastrój – „łapał” wszystkie wymiary.

Kiedyś zrobiono eksperyment: malowali zawodowcy i on. Na czas. Jurszewicz już dawno skończył, oni ciągle malowali... W efekcie jego praca była świeża w wyrazie, prawdziwa, tamte – jakieś „wymęczone”.

Jego obrazy rozpląnęły się po całym świecie. No, ale są i w Białymstoku. Spora grupa kolekcjonerów gromadziła, jak się wyraził nieżyjący już inż. Sitko, dyrektor Wodociągów, „edwardy”. Wymyślili to od imienia, którym sygnował niektóre prace.

Kiedyś (lata 60.) pan Edward wykonał obraz do ołtarza dla kościoła, którego byłem projektantem, w Mężeninie. Ogromne „Wniebowstąpienie”, chyba 3,5 x 2 m. Proboszcz popatrzył, zafrasował się nieco, jakby nie całkiem przekonany:

– Wie pan, ludzie lubią takie realistyczne. Chrystus jak Chrystus, ale te gęby w dole, jak jakichś bandziorów...

– A co – zaperzył się Artysta – myślicie, że wokół Jezusa w Jerozolimie byli wtedy aniołowie?! To były mroczne typy, rybacy, brodacze, nie mdła Europa!

Czesław Dawdo, dr inż. arch.

Oboje z żoną jesteśmy zafascynowani tą twórczością. Ulubione tematy pana Edwarda – podlaskie, białostockie, wileńskie – są bliskie i nam. Doróżki, zimowe pejzaże zdobyły nas świeżością spojrzenia, odważnymi kolorami, pięknem żywym, żywiołem. Obrazy są świetne technicznie, chro-

powate, malowane także szpachlą, pewnymi pociągnięciami pędzla.

I to wspaniały człowiek. Znam go od pięćdziesięciu lat. Ma talent również pedagogiczny. Wiem, bo wnuczce udzielał cennych wskazówek, a doświadczeniem dzielił się szczerze, z wielkim sercem.

**Anna Mazanek, dr nauk humanistycznych,  
Uniwersytet Warszawski, Warszawa**

Obrazy – to prawda uczuć i brawura działania. Twórczość nie ostentacyjna, lecz afirmująca. Nie ma w tym nic z chaosu ani egotyizmu. To nie komentarz do świata, nie zwątpienie ani szyderstwo, ani obsesja, ani pustka. To malarstwo konsekwencji uczuć i celu. Kryształiczny indywidualizm. Jest w malarstwie pana Jurszewicza wyraźny przekaz: „Kochajcie świat. Zobaczcie, jaki jest piękny. Radujcie się nim. Zachwyćcie się jego pięknem. Dziękujcie za nie”.

A rzeźby? Są wyciszające. Im bardziej się w nie wpatrywać, zwłaszcza kiedy ma się je blisko siebie, każde zatrzymanie wzroku daje jakiś rodzaj wytchnienia. O autorze wiem, że jest człowiekiem emocjonalnie reagującym, więc pewnie proces jego tworzenia jest dynamiczny. Tymczasem efekt tej pracy jest zadziwiający: niesie spokój. Tworzywo jest potraktowane ostrymi cięciami, całość jest więc kancista. Te elementy winny prowadzić do surowości przekazu. A przekaz na etapie odbioru jest łagodny. W tym upatruję wielkość twórczego.

**Jan Leończuk, poeta, pisarz, tłumacz, wydawca,  
dyrektor Książnicy Podlaskiej w Białymstoku**

(...) Panie Edwardzie – tam, na Niebieskich Plenerach – proszę czasem westchnąć za artystów, jeszcze wędrujących ku pełni; niech uda im się ominąć ślepe zaułki zagubień.

Dziękuję za uzdrawiający kontakt z Pańską sztuką.